

ELEMENTAL

KRZYSZTOF BONK



ELEMENTAL

KRZYSZTOF BONK

Redakcja i korekta: Maria Osińska

Projekt okładki: Agnieszka Radzięda

Konwersja wydania elektronicznego: Tomasz Semmler

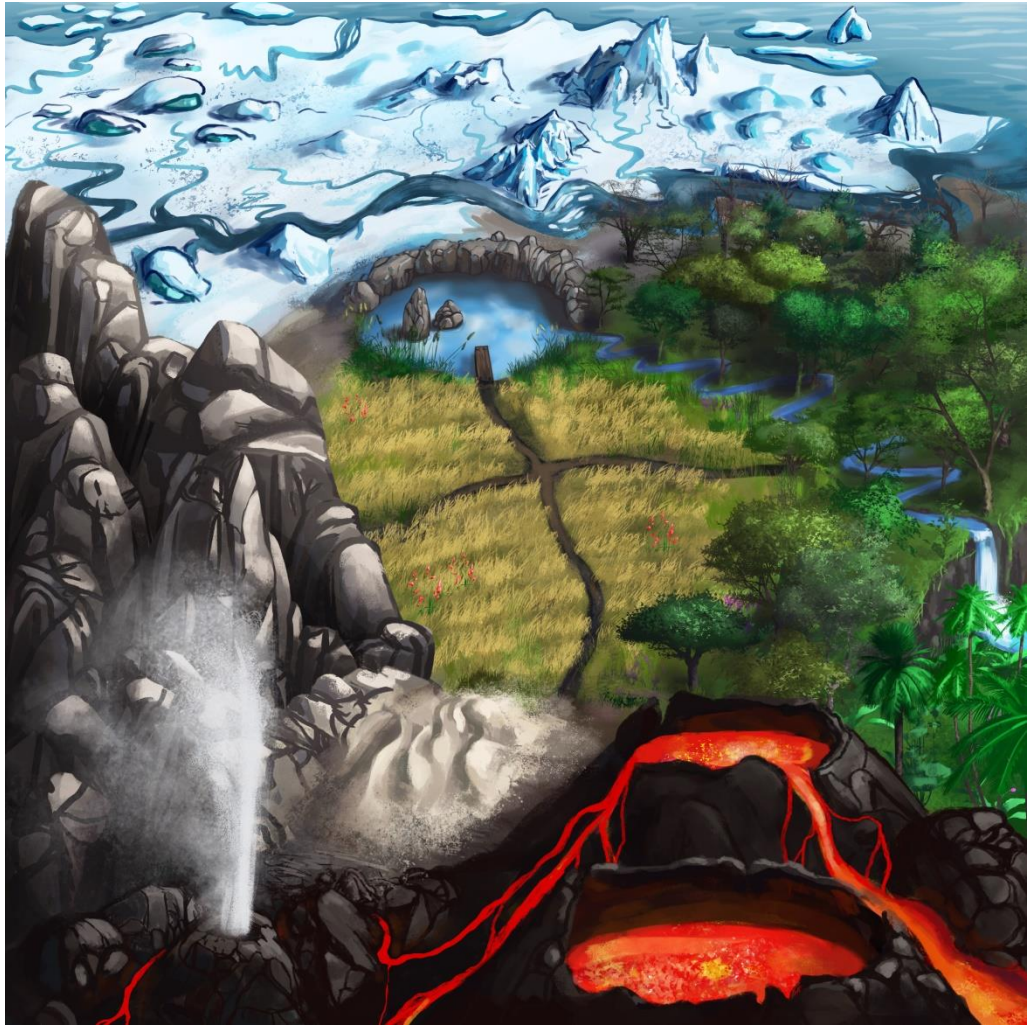
ISBN wydania elektronicznego: 978-83-7853-441-9

Wydawnictwo: self-publishing

Wszelkie prawa zastrzeżone

e-wydanie pierwsze 2017

Kontakt: krzysztofbonk.poczta@gmail.com



WIOSNA

Wiał silny wiatr od wschodu, niosący ze sobą świeży powiew zwycięstwa nad zastępami królestwa Terra. Dosiadający szmaragdowego smoka dominator Arbo przemierzał w locie ponure cmentarzysko. Było już po bitwie. Jak wzrokiem sięgnąć, ziemia, niczym nasionami, usłana była trupami poległych żołnierzy. Ich ofiara miała wydać w przyszłości obfity plon. Tu, gdzie rosło szczerozłote zboże, niebawem wzrastać będzie gęsty zielony las. Tymczasem mimo bezapelacyjnego triumfu władca dominium nie czuł satysfakcji, co najwyżej zniecierpliwienie na myśl o okresie dzielącym go od kolejnej potyczki. Gniew nie opuszczał go przez to ani na trochę, gorzka żółć podchodziła aż do gardła.

*

Przyszły wieści o klęsce w wojnie z dominium. To kompletnie wytrąciło ją z równowagi. Ziemia zdawała się królowej Ferti dosłownie osuwać spod stóp. Władczyni zamknęła się w swej złotej komnacie. Nie chciała nikogo widzieć, nikogo znać. Opanowało ją poczucie dojmującego osamotnienia. Czy rzeczywiście tak było? Musiało być, skoro tak właśnie czuła, a winna była nie jedna osoba – bezwzględnie obwiniała o to wszystkich, wręcz cały świat.

*

Królowa Ferti nie odpisywała na listy, jednak imperator Ligat wiedział, że kiedy osobiście się u niej zjawi, przyjmie go z wdzięcznością. Tak zawsze

się działo, więc i tym razem jechał na srebrnym tygrysie po to, czego ponownie zapragnął – zapachu jej słodkiej skóry, dźwięku śpiewnego głosu i rozkoszy, jaką mu da, gdy będą już nadzy. Czy była to miłość? Nie, zdecydowanie nie. Pragnął Ferti, gdy czuł się niespełniony, nienasycony. Kiedy był z nią, kiedy był w niej, zaspokajał to poczucie niekompletności. Nasyczał się nią, jakby się karmił. Czynił to do przesyty, a wtedy odchodził.

*

Cesarzowa Flam oswobodziła się z plątaniny nagich męskich i kobiecych ciał. Wstała z łoża, gdy uczestnicy upojnej nocy już spali. Przywdziała zwiewną szatę i wyszła na pałacowy taras. Była ciepła, gwieździsta noc, a jej ciało wciąż gorące po miłosnych uniesieniach. Kobieta spojrzała z lubością na zachód, gdzie za pasmem gór rozciągało się terytorium imperium Metallum. Przeniosła wzrok na pustynną północ, granicę z królestwem Terra.

– Ferti – wyszeptała głosem pełnym uczucia. – Ligat – dodała równie gorąco. Na wspomnienie swych miłości poczuła w sercu istny żar, który rozlał się po całym jej ciele. Klaszcząc głośno w dłonie, wróciła do sypialnej komnaty. Ponownie zapragnęła się kochać. Kochać do upadłego.

*

Siedząc na skorupie olbrzymiego wodnego żółwia, wpatrywała się w nieprzeniknioną toń prastarego jeziora, o którym powiadano, że nie ma dna, tylko nieskończoną głębię. W tym wodnym bezmiarze księżna Abys odnajdywała spokój. Odsuwała lęk i analizowała kolejne ruchy rozpoczętej przez siebie gry, której wszystkich uczestników postrzegała jedynie jako

rozstawione na szachownicy pionki. Była gotowa poświęcić po kolei każdego z nich. Wszelako poza jedną figurą: jej własną osobą.

SZENG – WZRASTANIE



– Bacność! – rozbrzmiał w przestrzeni zdecydowany głos kapitan Ampli. Trzymała włócznię z zieloną wstęgą i namalowanym na niej numerem jeden, oznaczeniem jej regimentu. Kapitan dowodziła dziewięcioma dziewiątkami żołnierzy dominium Lignum. Po dzisiejszym starciu na polach królestwa Terra dziewiątek pod swoim rozkazem doliczyła się już tylko sześciu. Oto prawo krwawej wojny, w której rosnącej liczbie zwycięstw towarzyszyła malejąca liczba tych, którzy mogli je odnosić.

Nagle, wbrew wschodniemu wiatrowi, Ampli poczuła z zachodu podmuch ciepłego powietrza. W mgnieniu oka jej umysł przeanalizował konsekwencje nowego zjawiska. Z jej wąskich ust padła natychmiastowa komenda:

– Włócznie w przykłku ku zachodowi!

Niemal w tej samej chwili dał się słyszeć rozdzierający przestrzeń skrzek i z popiołów na wypalanej ziemi poderwał się potężny złoty feniks. Ampli przyległa do szeregu włóchni i bacznie obserwowała majestatyczne stworzenie. Feniks rozłożył skrzydła upstrzone rzędami złotych piór i otworzył dziób przeciw jej regimentowi.

– Tarcze! – krzyknęła Ampli, chowając się pospiesznie za stawianą osłoną. Otulił ją gorący podmuch z wyplutych języków ognia. Kiedy temperatura opadła, kobieta wychyliła się. Zwrócony do niej bokiem stwór posyłał snopy ognia w inną stronę.

– Włócznie! Trzy kroki! Salwa! – Ampli wydała komendę i razem z pierwszym szeregiem przebyła podaną odległość. Jej broń znalazła się w deszczu zaostrzonych grotami drzewców, które zasypały powstałego z popiołów feniksa. Padł na ziemię, a w powietrzu znowu uniosły się wibrujące fale jego głosu, tym razem ostatnie – oczy ożywieńca zgasły na dobre.

Nocą jedyna jasność, jaka rozświetlała zwycięski obóz dominium, pochodziła już tylko z gwiazd u góry i z rozpalonych ognisk w dole. Przestrzeń między nimi przywodziła na myśl lustro. Poruszały się w niej węzowym ruchem skrzydlate, szmaragdowe smoki.

Ampli zasiadła w pobliżu wznieconych płomieni. Milczała. Otaczali ją tylko jej podkomendni. Nie należało z nimi rozmawiać. Brzmienie jej głosu mieli znać wyłącznie jako nakaz do natychmiastowego działania. Nie było tu miejsca na poufałość, trywialne rozmowy. W swoim umyśle Ampli także nie poszukiwała wewnętrznego dialogu – ani ze sobą, ani innymi. Kiedy wszystko znajdowało się na właściwym miejscu, a tak właśnie się działo, nie było powodu do roztrząsania żadnych spraw. Cel był prosty – była nim walka. Poza nią na ten czas nie istniało nic innego.

W pewnym momencie doszły do Ampli odgłosy nieśpiesznych kroków. Towarzyszyło im ciche, nostalgiczne pogwizdywanie. Melodia utwierdziła ją w tym, kto nadchodził. Fund. Nie pomyliła się. Kiedy znalazł się koło niej, uśmiechnął się cynicznie, jak miał w zwyczaju. Był to uśmiech, który mógł oznaczać wszystko, więc w sumie nie oznaczał niczego.

Ubrany w ciemnoniebieski płaszcz mężczyzna usiadł obok kapitan na pniaku drewna i odezwał się głosem, którego ton odpowiednio korespondował z wieloznaczną mimiką twarzy:

– Ampli, moja ty Ampli... Jupiter jak zwykle ci sprzyjał. Podobno sam dominator Arbo wypowiedział po bitwie twoje imię. Czy to prawda, pani kapitan? Czy może już pani generał, dowodząca w kolejnym starciu na łuskowatym smoku?

– Czego ode mnie chcesz? – krótko ucięła kobieta i skierowała wzrok na płomienie ogniska.

– Czego? W wielu sprawach możesz okazać się pomocna, chyba się domyślasz...

– Przejdź do rzeczy.

– Ampli, moja ty Ampli... Rodowita córka wschodu, jak zwykle konkretna aż do przesady. – Fund podrapał siwą szczecinę na brodzie i kontynuował: – Zależy ci na udziale w pochodzie dominium w głąb królestwa Terra?

– Tak.

– Tak... Tak też się spodziewałem. Tym radośniej śpieszę donieść, że zostajesz oddelegowana gdzie indziej. Postarałem się o to osobiście. – Kobieta obdarzyła przybyłego mężczyznę lodowatym spojrzeniem intensywnie zielonych oczu. – Jeśli chcesz mi podziękować, wskażę ci drogę do mojego namiotu. – Fund wyszczerzył się lubieżnie.

– O jakim przydziale mówisz?

– To tajna misja w stolicy cesarstwa Ignis.

– Szczegóły?

Mężczyzna złożył w dłoniach Ampli rulon papieru. Rozwinęła go, przechyliła w stronę światła płomieni i z uwagą zaczęła czytać. Jej twarz nie wykazywała żadnych emocji aż do ostatniego wersu, kiedy kwaśno się uśmiechnęła.

– Zgadza się – Fund podchwycił zmianę w jej mimice. – Podpisane przez samego dominatora Arbo. Nie masz odwrotu.

– Przecież tu chodzi o jego córkę. – Kobieta popatrzyła na swego rozmówcę z pewnym niedowierzaniem.

– Nie zadawaj pytań. Wykonuj rozkazy. Czyli rób dokładnie to, do czego cię stworzyłem. – Mężczyzna wstał ociężale i odwrócił się plecami.

– Poczekaj – rzuciła za nim Ampli.

– Tak?

– Moja wioska?

– Rozkwita... Taki zawarliśmy układ, nieprawdaż?

– Dokument, który mi dałeś... Nie ma w nim nic o przywództwie grupy.

– O tym jeszcze nie zdecydowano. Choć dowództwo możesz objąć ty. Wystarczy, że trochę się jednak postarasz. Mój namiot... – Fund zerknął na kobietę przez ramię.

– Chętnie wpadnę.

– Czyżby?

– By poderżnąć ci gardło.

Mężczyzna głęboko westchnął.

– Ampli, moja ty Ampli... Zatem spróbuj zapanować nad swoją dumą. Na okazję wspomnianej misji postaram się, abyś była w niej jedynie szeregową postacią.

Fund owinął się szczelnie płaszczem i odszedł w mrok. Kobieta z powagą odprowadziła go wzrokiem, a otrzymany dokument włożyła w pobliski płomień. Po chwili pozostał z niego tylko czarny popiół.

Nazajutrz, skoro świt, Ampli stawiała się w opisanym w dokumencie miejscu. Znajdowało się koło starego młyna nad brzegiem wąskiej rzeki, na wschód od zwijanego obozowiska armii dominium Lignum.

Kapitan zeskoczyła z rumaka i przywiązała go do drewnianej belki, konstrukcji ze smętnie obracającym się młyńskim kołem. Wkrótce zjawily się konno dwie kobiety będące szeregowymi żołnierzami wojsk dominium. Ten prosty wniosek płynął z ich ubioru, czyli ciemnozielonych mundurów. Przybyłe kobiety zasalutowały Ampli w nieco jaśniejszym, kapitańskim uniformie. Nikt się nie odzywał, cała trójka zachowywała powagę. Po dłuższym czasie na parze białych wierzchowców pojawili się pozostali uczestnicy misji. Kobieta i mężczyzna w luźnych błękitnych szatach, typowych dla przedstawicieli północnego księstwa Aqua. Mężczyzna z pewną wyższością w głosie oświadczył:

– Nazywam się Liquir i dowodzę powierzoną nam misją. Moja zastępczyni zwie się Unda. – Wskazał na swoją towarzyszkę i dodał – przebierzecie się w stroje kapłanek z imperium Metallum. Ja za strażnika z tegoż władztwa. Zostaliście już zaznajomieni z zadaniem, jakie otrzymaliśmy. Każde z was wie dokładnie tyle, ile potrzeba, nie oczekuję więc zbędnych pytań. Po prostu wykonujcie rozkazy. Należycie do dominium, nie powinniście mieć z tym kłopotu.

Grupa pięciu jeźdźców rozpoczęła podróż na południe ku granicy z cesarstwem Ignis. Przywdziali białe, obcisłe szaty, w tym turbany o takim samym kolorze, by zakryć pasemka zielonych i niebieskich włosów.

Tymczasem to, że wyprawie przewodzili przedstawiciele księstwa Aqua, nie zaskoczyło Ampli. Prawdopodobne było również, że ona sama wraz z dwójką żołnierzy została tu dokooptowana do odwalenia brudnej roboty. Ta wydała się Ampli wyjątkowo brudna, jak wywnioskowała z treści rozkazów. Kapitan była jednak żołnierzem. Jej powinność stanowiło po prostu wykonywanie poleceń.

LATO

MENG – MŁODZIEŃCZE NIEDOŚWIADCZENIE



– Och! Arden! Jesteś najgorętszy! Ogierze! Tak, bierz mnie! Jeszcze! Mocniej! To już! Och! – Rudowłosa kobieta wygięła ciało w łuk i wpiła rozczapierzone palce w czerwone prześcieradło. Jej usta otworzyły się szeroko. – Och! Aarden! – Z jej piersi wydarł się pełen ekstazy krzyk. Jej kochanek tylko na to czekał i w upojeniu sam doszedł do swego spełnienia. Doprawdy wielce był rad z ponownych odwiedzin cesarskiej stolicy, a w niej niezwykle ognistych kobiet.

Jakiś czas potem obudziło go stukanie do drzwi. Nie otwierał oczu, czekał, aż nachalny dźwięk ustanie. Nie ustawał. Wtedy mężczyzna przypomniał sobie o Uro, swoim przyjacielu, z którym umówił się tu na spotkanie. Najwyraźniej nadeszła już na nie pora.

Usiadł na łóżku i zgasił pragnienie łykiem wina z pucharu. Popatrzył na śpiącą, nagą kobietę. Uśmiechnął się na wspomnienie ich namiętnej nocy i spróbował sobie przypomnieć, jak nazywa się jego kochanka. Nic to, imię, które chwilowo umknęło mu z pamięci, powróci do niej wkrótce, aby pojawić się w notatniku obok innych sercowych podbojów. Z tą myślą Arden przywdział ubranie – szyte na miarę, bordowe, luźne spodnie oraz kurtkę, czyli ostatni krzyk mody w cesarstwie – po czym otworzył drzwi, które doczekały się już razów pięściami.

Ukazało mu się zniecierpliwione oblicze przyjaciela. Arden położył palec na ustach i zwrócił jego uwagę na przeciągającą się w pościeli kobietę.

– Nic się nie zmieniłeś – wyszeptał z niekłamanym podziwem Uro.

– Wręcz przeciwnie.

– Powiadasz?

– W sztuce miłości stałem się istic niedościgniony – odparł Arden i żwawo ruszył po drewnianych schodach na dół, aby ze znajomym wyjść na ulicę cesarskiej stolicy.

Na zewnątrz przywitał go południowy skwar i mrowie roześmianych ludzi taszczących kosze pełne czerwonych kwiatów.

– Dziś w nocy rozpoczyna się lato – westchnął Arden i zaciągnął się różaną wonią. – Święto Marsa.

– Tak – zgodził się Uro. – Ulice miasta zdają się żyć już tylko tym wydarzeniem. Jak zresztą co roku.

– Gdzie zatem moglibyśmy spokojnie porozmawiać? Tylko nie za spokojnie. Wiesz, co mam na myśli... Do tego coś wypić...

– Zapraszam pod Rubinową Różę, poprowadzę! – rzucił z entuzjazmem Uro. – To nowy lokal, a w nim...

– Nowe kobiety! – krzyknęli jednocześnie mężczyźni i roześmiani skierowali się ku południowej części miasta.

Niebawem zasiedli w strojnych czerwonych ławach. Wnętrze lokalu zdobiły rzeźbienia róż i kompozycje kwiatowe porozstawiane w krągłych wazonach. Arden przejechał ręką wzdłuż jednego z takich naczyń, po jego wgłębieniach i wypukłościach, wskazując wymownie wzrokiem na najbliższej zasiadającą damę. Przyjaciele ponownie się roześmiali i stuknęli pucharami pełnymi wina, aż jego krople spadły na krwistoczerwony obrus.

– Więc za co tym razem toast? – zapytał ochoczo Uro.

– Za miłość i jej gorące obiekty! Za kobiety!

– Tylko kobiety...?

Arden zmierzył przyjaciela podejrzliwym wzrokiem.

– Nie mów, jeszcze ci to nie przeszło? Miałem nadzieję, że to były tylko takie szczeniackie wygłupy...

– Sam mnie pocałowałeś.

– Fakt. – Arden na moment spowaźniał. – Byłem wtedy kompletnie pijany. I wiesz co?

– Taa?

– Chyba mi się nie podobało.

– Czyli ty i ja...

– Nie ma szans.

– Nawet w trójkącie?

– Żadna sensowna figura geometryczna nie przychodzi mi do głowy, wybacz.

– Miałem na myśli...

– Wiem, co miałeś na myśli. – Arden mrugnął okiem. – Wiem też, co masz, a czego nie masz, i tu – pokazał na krocze kompana – leży właśnie problem.

– No tak...

– Ano.

Nastała chwila milczenia, podczas której mężczyźni skupili się na swoich kielichach. W tym czasie do gospody weszła niespodziewana tutaj postać i zajęła miejsce przy wolnym stoliku.

– Kapłanka Metallum? – Arden zdumiał się na jej widok. – Dużo się ostatnimi czasy, widzę, zmieniło w stolicy.

– Ech, wy, wielcy kochankowie z prowincji – zakpił Uro i uniósł kielich do ponownego toastu. – Tym razem za moją nową pracę – powiedział.

– Ooo, a cóż to za fucha, pochwal się.

– Zgadnij.

– Droczyś się jak kobieta – mruknął Arden. – Może flirciarz?

– To twoja praca. A twierdzisz, że masz monopol.

– Racja. Więc zapewne zostałeś katem – zażartował Arden i podniósł triumfalnie kielich, by odwzajemnić toast.

– Blisko.

– Nie żartuj.

– Cóż... Jestem obecnie strażnikiem w miejskim więzieniu. Znacząco to lepsze od zamykania ulic. – Uro stuknął swoim kielichem o kielich kompana.

– Hm... Wybacz. W moich oczach jakoś nie zyskałeś na atrakcyjności. – mówiąc to, Arden wlepił wzrok w siedzącą samotnie kapłankę.

– Ona najwyraźniej coraz bardziej...

– Jakbyś zgadł.

Uro zatarł dłonie i dumnie oświadczył:

– Garść rubinów.

– Co? Garść rubinów?

– Idę o zakład, że nie zdobędziesz kapłanki.

– He, he! – Arden wyciągnął się na ławie i splótł ręce z tyłu głowy. – A jak przegram, to co zechcesz? Pocałunek? – Złożył usta razem i przesadnie je wydał.

– Tym razem coś więcej.

– Przestań. – Arden machnął niedbale ręką.

– Wspomniałeś, że potrzebujesz kosztowności. A twoje gustowne ubranie jest, zdaje się, jedynym, jakie posiadasz. Zaś do stolicy przybyłeś piechotą. Do tego, niech cię zacytuję: „Nawet księżna wiecznych mrozów Abys ci się nie oprze”. Więc?

Arden patrzył z ukosa na kapłankę. Z profilu widział tylko sztywno siedzącą kobietę w niemal żołnierskiej pozie, która piła coś z różanego kubka.

– Zgoda – powiedział z powagą, zupełnie jak myśliwy szacujący możliwość oddania celnego strzału do namierzonej zwierzyny. Wysunął przed siebie otwartą dłoń. Uro chwycił ją błyskawicznie i zachichotał pod nosem.

– Co cię tak bawi? – zapytał go podejrzliwie Arden.

– Co wiesz o kapłankach z Metallum? – Jego rozmówca nie przestawał się podśmiewać.

– Niewiele. Są szarookimi kobietami. Przede wszystkim kobietami, a to wystarczy.

– Są dziewczicami – zaakcentował silnie Uro. – Dziewczicami, którym pod groźbą śmierci nie wolno złamać ślubów czystości. – Mężczyzna nie wytrzymał. Parsknął głośno i uderzył z impetem pięścią w stół.

Arden przełknął ślinę. Wstał, przesadnie głęboko się uklonił. Swobodnym krokiem ruszył do kapłanki i oznajmił jej szarmancko:

– Piękna pani w tak pięknym miejscu nie może zasiadać sama. Pozwoli, srebrnooka dama? – Odpowiedział mu widok surowej twarzy i spojrzenie przenikliwych, zielonych oczu. – Zielonooka dama...? – zająknął się zaskoczony Arden, zdając sobie sprawę, że niefrasobliwym rozkojarzeniem wyszedł z roli rasowego uwodziciela. Pospieszenie się więc poprawił. – Oczywiście to najcudowniejsza zieleń oczu, jaką tylko mogę sobie wyobrazić, iście magiczna, wręcz...

– Siadaj – syknęła kobieta.

Arden poglądził się po krótkim wąsiku. Uśmiechnął się do Uro i zajął wskazane miejsce. Szybko ocenił, że postać naprzeciw niego nie należy do piękności. Dość prostokątna twarz, niczym ociosana belka drewna, niskie czoło, podłużny nos, przeciętnej wielkości podbródek. Gdyby nie przenikliwe oczy, w których zdawało się skrywać coś niezwykłego, wziąłby ją za wieśniaczkę ze wschodniego pogranicza.

W duchu odetchnął. Pomyślał, że kilka zgrabnych komplementów wystarczy, aby kobieta, która nigdy nie zaznała mężczyzny, zapagnęła jego czułości jak niczego innego.

– Wyjątkowo gustowny turban. – Zwrócił uwagę na nakrycie kobiecej głowy. Naraz zmarszczył brwi. Spod białej tkaniny na wysokości skroni wystawał kosmyk zielonych włosów. Kobieta szybkim ruchem ręki zgarnęła

go pod turban. Drugą ręką niespodziewanie chwyciła Ardena za dłoń i pewnym głosem zapytała:

– Chcesz mnie? – Mężczyzna zbaraniał. – Chcesz mnie? – powtórzyła natarczywie.

– Tak, chyba tak, oczywiście...

– Gdzie tu jest toaleta?

Kompletnie zbity z tropu Arden machnął głową do tyłu. Kobieta szarpnęła go za sobą. W środku zamknęła drzwi, wtuliła się w niego i splotła mu ręce na plecach.

Oszołomiony Arden uśmiechnął się błogo. Poszerzył jeszcze uśmiech na myśl o swoim kolejnym zwycięstwie, rozkoszy, jakiej zaraz zazna, i późniejszej, nie mniejszej, gdy odbierze od Uro garść rubinów.

Kobieta odpięła mu klamrę od paska i zsunęła spodnie. Arden chciał ją objąć, lecz zaskoczony zorientował się, że ma związane z tyłu ręce. W tym momencie kobieta włożyła mu do ust własną bieliznę i pchnęła go silnie na klapę sedesu. Dwoma silnymi szarpnięciami rozerwała mu kamizelkę i koszulę, aż posypały się guziki. Następnie usiadła na nim okrakiem. Oniemiały Arden zorientował się, że jest już w niej. Założyła mu ręce za głowę i zaczęła się miarowo kołysać. Utrzymywała stały rytm, przy każdym opadnięciu wydając ciche jęknięcie. Mężczyzna wiercił się, by wydostać się z narzuconej pozycji. Bez powodzenia. Szybko więc poddał się temu dyktatowi. W końcu było mu dobrze. Sam był zaskoczony tym, jak nad wyraz przyjemnie, gdy w całości oddał nad sobą kontrolę.

Po dłuższym czasie kobieta nagle zastygła w bezruchu, wpiła mu paznokcie w plecy i głośno jęknęła z rozkoszy. Arden czuł, jak mocno drżą jej uda. Natomiast on potrzebował jeszcze tylko paru ruchów, może jednego.

Raptem kobieta wstała na równe nogi. Arden popatrzył na nią z przerażeniem w oczach, ona zaś postawiła mu stopę na kroczu i chłodno zapytała:

– Nie skończyłeś? – Arden z całych sił potrząsnął przecząco głową. – Więc może twój znajomy ci w tym pomoże. Stawiam, że będzie zachwycony.

Po tych słowach wyszła z toalety. W otwartych drzwiach minęła Uro. Ten odprowadził ją wzrokiem i wszedł do wnętrza przybytku. Na zastany widok uśmiechnął się chytrze.

Z kolei Arden tego feralnego dnia nie spodziewał się już niczego dobrego, w szczególności po swoim przyjacielu i jego ostatnich wyznaniach. Przeto szarpał się jak szalony, aż stoczył się na podłogę i kopał w co popadnie. Na swoje szczęście wszczął taki harmider, że próg pomieszczenia zaroił się od ciekawskich gapiów, a Arden obserwował, jak jego przyjacielowi na powrót rzedła mina.

FU – PUNKT ZWROTNY



– Spóźniłaś się – warknął Liquir, gdy Ampli dotarła do umówionego miejsca spotkania, czyli izby w miejskiej gospodzie. Skarcona kobieta zorientowała się, że cała grupa jest już obecna. – Wy tłumacz się – dodał przywódca. Podeszedł do Ampli i przyjrzał się jej z uwagą. – Masz poszerzone źrenice. Co robiłaś, mów. – Kobieta milczała. Liquir zamachnął się, aby uderzyć ją w twarz. Ampli zdążyła chwycić jego dłoń.

– Przestańcie! – rzuciła zdecydowanym tonem Unda, jakby to ona kierowała misją. – Już wieczór, nie traćmy czasu, trzeba się przygotować. – Ampli puściła rękę Liqura. W ich oczach iskrzyło. – Zgólcie do gołej skóry włosy – zarządziła Unda i pokazała na naczyniu z wodą, w którym moczyło się kilka brzytw. – Połknijcie też po jednej pigułce. – Położyła na stole szklany pojemnik z pastylkami. – Nikt nie pozna, że nie pochodzimy z Metallum. Po zażyciu oczy stają się szare.

– Na jak długo? – zapytała Ampli.

– Kilka, kilkanaście dni. W razie śmierci na zawsze. Ostatnia rzecz to sztylety. – Unda rozłożyła na stole podłużny futerał. – To rytualne ostrza z imperium. Zamachu dokonać musimy właśnie nimi. Plan czekającej nas akcji już poznaliście. Jakies pytania?

– Nikt nie ma żadnych. – Liquir obrzucił Ampli wzgardliwym spojrzeniem. – Bierzmy się do pracy.

Nastała noc, której czerń rozświetlały ogniste fajerwerki. W najlepsze trwało święto Marsa. Zewsząd dochodziła skoczna, wesoła muzyka. Ampli z czwórką kompanów ruszyła przez roztańczone tłumy ku Marsowemu Placu, gdzie cesarzowa Flam jak co roku pozdrawiała swoich obywateli.

Tymczasem wokół pochodzącej z dominium kobiety wirowały obnażone do pasa pary. Zewsząd lało się wino, turlały się poprzewracane beczki. Gdziekolwiek Ampli odnosiła wręcz wrażenie, że brnie w bordowym trunku. Nagle z rzędu ust buchnął przed nią ogień. Przez moment widziała w wyobraźni złotego feniksa. Ktoś przeszedł przed nią na szczydłach, trącając ją tak, że potknęła się i niemal przewróciła. Kątem oka dostrzegła w rogu ulicy nagie pary w miłosnych uściskach. Drażniły ją i dziwnie pobudzały nieznanne zapachy z tłących się kadzideł. W końcu dotarła przed wielki plac, wokół

którego tłoczyli się tańczący ludzie. Na samym środku siedziała na tronie jakaś postać. Przestrzeń wokół niej stanowiła istne morze czerwonych kwiatów, z których niczym wyspy wyrastały sterczące pochodnie.

Ampli zdała sobie sprawę, że znalazła się na wyznaczonym miejscu. Poczula na ramieniu czyjaś dłoń. Odwróciła się nerwowo i zauważyła Undę, która skinęła jej głową na znak, że już czas. Teraz zostało raptem kilka chwil, aby wykonać rozkaz. Nie było czasu na wahanie, została wybrana, cel był przejrzysty. Postąpiła zdecydowanie do przodu. Po bokach dostrzegła towarzyszek z dominium. Razem z dwójką z księstwa Aqua była ich piątka. Pięć szans. Pięć ostrzy i jedno cesarskie serce do zaszytychowania.

Ampli przyspieszyła i w mgnieniu oka znalazła się przed zasiadającą na tronie postacią w czerwonej sukni i z rubinowym diademem na głowie. Kobiety spotkały się wzrokiem. Ampli wyciągnęła przed siebie sztylet. Jego czubek oparł się o pierś cesarzowej. Wystarczyło już tylko pchnąć rękojeść, a ostry metal zwieńczy dzieło. Jednak Ampli zastygła w bezruchu. Zawahała się. Od wszechobecnej czerwieni mieniło jej się w oczach. Do jej uszu wlewała się pobudzająca wszystkie zmysły muzyka. Naraz cały jej świat jakby zamarł. Oczami wyobraźni Ampli ponownie zobaczyła ożywającego z popiołów feniksa, który tym razem poszybował wysoko ku słońcu. Ta wizja prześladowała ją od dzieciństwa, jak daleko zdołała sięgnąć pamięcią.

Jakby otrzeźwiona, Ampli spojrzała przez ramię. Zobaczyła dwie leżące, martwe postacie w kapłańskich szatach. Dwie, nie cztery. A także otaczający ją krąg uzbrojonych we włócznie strażniczek i strażników.

Kobieta z dominium pozwoliła wymknąć się swemu sztyletowi z dłoni. Ten spadł i zanurzył się w płatkach róż. Na Marsowym Placu muzyka przestała grać. Kiedy do ludzi wokół dotarło, co się wydarzyło, zapadła na nim

grobowa cisza. Nawzajem pokazywali sobie zadżganą parę, a zwłaszcza postać, którą strażnicy postawili na klęczkach przed cesarzową. Toczyła się tam rozmowa. Następnie zbrojni przewrócili niedoszłą zabójczynię i powlekli za ręce poza plac.

Lekko pijany Arden przypatrywał się z pierwszego szeregu gapiów, jak kobieta rysuje swoim bezwładnym ciałem coś na kształt rzeki między brzegami kwiatowych pąków. Kiedy go mijała, rozpoznał w niej swoją dzisiejszą kochankę, tę niezwykłą z Rubinowej Róży. Wspomnienie tego, co się tam wydarzyło, i obecna scena nałożyły się w jego umyśle. W efekcie, oglądając się za taszczoną kobietą, patrzył w ślad za arogancją i świętokradztwem, a jednocześnie pożądaniem oraz tajemnicą.

JU – ENTUZJAZM



– Doprawdy nie rozumiem, co widzą w tobie niektórzy mężczyźni... – mruknął Arden, przyglądając się swemu rozmówcy. Siedzieli w parku, był kolejny słoneczny, upalny dzień.

– Patrzą przez inny pryzmat. Twój, widać, jest wybrakowany.

– Mnie tam w zupełności wystarcza. – Arden cały czas koncentrował się na fizjonomii mężczyzny, z którym dzielił ławkę i który był ponoć rozchwytywaną męską dziwką. Prezentował się w sposób z lekka dystygowany, był szczupły, dokładnie ogolony, z silną opalenizną na

pociągłej twarzy. Tak czy inaczej, jakby na niego nie spojrzeć, wcale nie wydawał się pociągający. Jednak to nie Ardena miał uwieść, lecz jego znajomego Uro. Nastał czas, by zdecydować, czy będzie odpowiednim kandydatem.

– I jaki werdykt? – zapytał z udawaną obojętnością mężczyzna, który wcześniej przedstawił się jako Merex, kochanek doskonały.

– Przyznam szczerze, że nie jestem do ciebie przekonany. Jak zresztą do każdego...

– Mężczyzny, który ma z mężczyzną...?

– Właśnie.

– Bzdury. Po prostu zazdrościsz mi wdzięku. Skrywany podziw dla mnie niepotrzebnie w sobie tłumisz. – Merex zatrzepotał podejrzanie długimi rękami.

– Niech będzie.

– Więc?

Arden podrapał się niefrasobliwie po głowie.

– Trzy rubiny – zawyrokował.

– Sześć, i twój przyjaciel umrze z rozkoszy.

– Trzy. Wolałbym zachować go jednak przy życiu. Masz mi pomóc w drobnej kradzieży, nie morderstwie.

– W takim razie trzy za rozkosz i trzy za współudział w zbrodni.

– Niewinnym występku?

– Umowa stoi.

Po wczorajszym święcie, które w pewnym momencie omal nie zapisało się wielką tragedią w dziejach cesarstwa Ignis, miasto powoli powracało do normalnego życia. Choć w rozmowach mieszkańców stale przewijał się tylko

jeden wątek – nieudany zamach kapłanów Metallum na cesarzową. Co raz pojawiały się najprzedsziwniejsze teorie na temat domniemanych motywów, jakie przyświecały zamachowcom. W szczególności wyobraźnię rozpalało zagadnienie, dlaczego egzekutorka zamachu w ostatniej chwili odstąpiła od zwieńczenia swej misji sukcesem.

Arden zdawał sobie sprawę, że on, jako świadek tego zdarzenia oraz demaskator zielonego pasemka włosów niedoszłej zabójczyni, która teraz była łysa, mógł rzucić na sprawę nieco światła lub jeszcze bardziej ją zagmatwać. Lecz prawdę mówiąc, to nie sama sprawa tak go intrygowała. Znacząco bardziej zafascynowany był związaną z nią osobą. Kochał się w pobudzeniu, zauroczony był egzotyką i tajemniczością. A źródło owych fascynacji zostało przed nim skryte w zamknięciu, w celi miejskiego więzienia. Od swego przyjaciela Uro, tamtejszego strażnika, zdążył już się dowiedzieć, gdzie dokładnie przebywa pożądana przez niego postać. I za jego sprawą postanowił cichcem do niej przeniknąć. Pewnie było to niebezpieczne, także nieodpowiedzialne, ale tym się nie przejmował. A co będzie dalej? Liczyło się tylko tu i teraz, więc nie dbał o to.

Właśnie obserwował ukradkiem, jak Uro szarmanckim gestem otwiera przed Merexem drzwi swego domu. Musiał przyznać, że wynajęty mężczyzna go nie zawiódł. W krótkiej rozmowie w Rubinowej Róży podbił serce Uro i teraz, krygując się umiejętnie, przepuścił gospodarza domu przed sobą. Zgodnie z umową wejściowe drzwi pozostawił niedomknięte.

Arden odczekał dłuższy czas i zniecierpliwiony zakradł się do domu. Znalazł się w znanych sobie przestrzeniach. Ubranie swojego przyjaciela z jego służbowym kluczem spodziewał się znaleźć w przedpokoju. Zafrasowany podrapał się po brodzie. Tym razem Merex go rozczarował. Z garderoby w tym

miejsu nie zastał nic poza parą skarpet. Arden poczuł się niepewnie. Czyżby cała zabawa z Merexem miała skończyć się na bezwstydnie obnażanych stopach? Wtem z pomieszczenia na lewo poszybował pasek od spodni. Spadł na podłogę, wijąc się niczym wąż między skarpetami. Następna była koszula Uro, która z gracją opadła na wieszak. Wreszcie sama bielizna, która dumnie zawisała na żyrandolu. I nagle, niczym motyl, w przestrzeń poszybował na rzemieniu klucz do miejskiego więzienia. Arden pochwycił go w locie i nie zwlekając, odcisnął w formie z wosku. Odwiesił klucz na żyrandol i przy wtórce coraz głośniejszych jęków wyszedł na ulicę z zamiarem zrobienia żelaznych odlewów.

Wkrótce miał trzy niemal identyczne klucze. Stanął z nimi przed bramą chyba najgorzej strzeżonego więzienia w całym Kręgu Świata i uśmiechnął się przymilnie do jednego z pary znudzonych strażników. Odpowiedziało mu przeciągłe ziewnięcie. Zachęcony tym gestem wyjął pierwszy klucz i jak gdyby nigdy nic – włożył go do zamka. Spróbował przekręcić, bez powodzenia. Strażnik, który wcześniej obdarzył go widokiem nadmiaru zasysanego do płuc powietrza, łypnął na niego podejrzliwie. Arden odwzajemnił mu się jednym z całego arsenału swoich najszczerzych uśmiechów. Jednocześnie dyskretnie podmienił klucz na drugi z kompletu. Zdawał sobie sprawę, że odcisnięta w wosku forma nie stanowi idealnej kopii pierwowzoru, przez co polecił wykonać jeszcze dwie, niemal identyczne, na wszelki wypadek.

W zamku ponownie zachrząścił oszlifowany metal i znowu bez rezultatu. Tym nieudanym manewrem Arden zwrócił na siebie uwagę drugiego z pilnujących, który do tej pory drzemał. W odpowiedzi przybyły mężczyzna rozłożył bezradnie ręce. Przesunął dłoń przy kieszeni i zgrabnie, niczym

magik, podmienił klucz na trzeci. Z pieczołowitością umieścił go w maltretowanym zamku. Każdy jego ruch był już bacznie śledzony przez obu strażników.

Dało się słyszeć cichy chrzęst i mechanizm leniwie ustąpił pod naporem klucza. Drzwi otworzyły się, a Arden odetchnął z ulgą.

– Chyba się dotąd nie widzieliśmy? Pierwszy dzień w pracy...? – zapytał smętnie jeden z pilnujących.

– O tak. Po zamachu na cesarzową ogłoszono nabór na nowych strażników. Potrzeba ich... ich więcej, o wiele więcej – zająknął się podenerwowany Arden. – Należy wzmocnić czujność.

– Taa... – Drugi z pilnujących ziewnął, po czym zaczął głośno chrapać, jeszcze zanim Arden na dobre zniknął we wnętrzu więzienia.

Tymczasem przybysz przemierzał zbudowany z czerwonej cegły długi, szeroki korytarz. Rozświetlały go nieliczne pochodnie, których języki ognia lizały owalne sklepienie, pozostawiając na nim czarną sadzę. Po obu stronach znajdowały się symetrycznie rozmieszczone cele. Dostępu do nich broniły drzwi, a na nich ciężkie zasuw. Arden co jakiś czas mijał opierających się o ściany strażników. Lecz nikt nie zwracał na niego specjalnej uwagi. Z zadowoleniem też przyjął panującą wokół ciszę zamiast potępieńczych jęków i szelestu łańcuchów, jakich się spodziewał. Mimo wszystko ponownie zastanowiło go, jak Uro mógł się z takim zadowoleniem obnosić z tym, że na co dzień pracuje w takim miejscu. Było tu chłodno, wilgotno i ponuro, bez krzty radości i promieni słońca. Wyjątkowo nieciekawie, wręcz martwo dla temperamentnych mieszkańców cesarstwa Ignis.

Wreszcie Arden dotarł do celi na końcu korytarza, gdzie miała znajdować się poszukiwana przez niego kobieta. Przybliżył się do poziomej

szpary w drzwiach i zajrzał do środka. Była tam, a jakże, kobieca postać siedząca pod ścianą w kapłańskich szatach. Naraz zwróciła wzrok ku drzwiom. Arden odskoczył do tyłu. Czyżby go usłyszała? Zastanowił się, co on właściwie wyprawia? Jednocześnie za sprawą narastającej ekscytacji już położył dłonie na ciężkiej zasuwie. Ani się obejrzał, a wśliznął się do celi. Bezwiednie przecesał swoje średniej długości włosy koloru jasny blond. Kobieta ani drgnęła, tylko przyszpiliła go wzrokiem.

– To ty – szepnęła w końcu, rozpoznając niezapowiedzianego gościa.

– We własnej osobie. – Arden ukłonił się w dystyngowany sposób. – Nadmieniałem już, że tak pięknej damie nie przystoi przebywać w tak... obskurnym miejscu. Oto więc przybywam na ratunek. – Wskazał otwarte drzwi celi.

– Przybyłeś na białym rumaku? A gdzie podziałeś lśniąca zbroję?

– To nie ta bajka...

– A która?

– W tej po prostu musimy czmychnąć stąd przez drzwi na zewnątrz, to wszystko.

– Gdzie tu podstęp?

– Nie ma żadnego. Nie zabiłaś cesarzowej Flam, choć miałaś sposobność. A plotki głoszą, że po bolesnym przesłuchaniu... twoje ciało zostanie oddane gorejącemu wulkanowi. Ja natomiast mam do ciebie jakąś niewytłumaczalną słabość...

– Czyżbyś pragnął coś dokończyć? – Kobieta raptem poderwała się na nogi i stanęła przed Ardenem tak blisko, że poczuł na twarzy jej oddech i lekko kwaśny zapach ciała.

– To chyba nie jest najlepszy moment... Miejsce też niezbyt sprzyjające... – wymamrotał mężczyzna. – Choć w innych okolicznościach chętnie wrócę do tematu.

– Mów mi Ampli.

– Jestem Arden.

– Rozbieraj się.

– Ale...

– Natychmiast – warknęła rozkazującym tonem kobieta.

Oszołomiony Arden wykonał polecenie, choć w tych okolicznościach zamiast podniecenia czuł narastające roztrzęsienie. Raptem dostał palpitacji serca, drżały mu ręce, którymi zdejmował spodnie. Jednocześnie obserwował, jak kobieta ściąga z siebie kapłańskie szaty.

– Jak to zrobimy? – zapytał z miną skazańca.

– Odwróć się.

– Ja?!

– Tak.

– Ale...

– Już!

– W porządku... – Mężczyzna oparł dłonie o ścianę i potrząsnął głową, jakby chciał otrząsnąć się z rzuconego na siebie uroku. Mimowolnie zacisnął pośladki. Czuł się dziwnie, nieswojo, i to bardzo. Lecz, jak na ironię, nic się nie działo. Wreszcie ostrożnie odwrócił się, a wtedy zamarł. Wewnątrz nie zastał nikogo. Zniknęło też jego ubranie. W celi pozostała tylko sarta kapłańskich szat, a drzwi do niej okazały się zamknięte.

– Arden, ty skończony głupcze! Ty głupcze! – krzyknął bezradnie. Wstrząśnięty padł na kolana i chwycił się za głowę. Przeszedł go dreszcz na

myśl, że teraz to jego oskarżą o próbę zamachu na cesarzową i po torturach stracą w ogień wulkanu. Oczami wyobraźni już widział, jak przy wtórze wzgardliwego wzroku gapiów prowadzony jest przez swego przyjaciela Uro na miejsce kaźni.

Ujął w dłonie kapłańską togę. Zastanowił się, czy będzie pasować. Parsknął ze śmiechu i przez zaciśnięte zęby drwiąco wycedził:

– Ampli, tak? Ampli, moja ty Ampli... Ty niewdzięczna suko... Ty suko!

– Suko?

Arden drgnął i zwrócił się w stronę, z której dobiegło zasłyszane słowo. W uchylonych drzwiach stał nie kto inny jak kobieta w jego ubraniu, która dopiero co porzuciła go tu na pastwę losu. Zdjęła z ramienia przewieszzonego przez nie strażnika i ułożyła go na podłodze.

– Załóż jego strój i ubierz go w kapłańskie szaty – poleciła Ardenowi.

– Czy on... stracił przytomność? – zapytał bez wiary nagi mężczyzna.

– Ma skręcony kark. – Arden przełknął ślinę. – Pośpiesz się – rzuciła Ampli. – Zaraz wracam. – Powróciła z pochodnią i podpaliła ubranego już w kapłańskie szaty strażnika.

– Wszyscy pomyślą, że dokonałaś samospalenia – wydusił z siebie Arden.

– Tak. A potem się odrodzę.

– Jak?

– Jak feniks z popiołów.

– Feniks z popiołów?

– Dokładnie tak. Wynośmy się stąd.

Po chwili para przemierzała korytarz w kierunku wyjścia. Naraz do uszu Ardena doszło znajome, rozkoszne pojękiwanie, które dzisiaj już słyszał w domu Uro. Dobywało się zza drzwi jednej z mijanych cel. Przystanął. Jak grom z jasnego nieba dotarło do niego, dlaczego jego przyjaciel tak bardzo cenił sobie posadę strażnika w miejskim więzieniu. Następnie pobiegł za Ampli, która ani na moment nie zwolniła kroku.

Na jej sugestię rozdzielili się przed wyjściem z więziennego gmachu. Arden ruszył przodem. Uprzejmie pożegnał się z zaspanymi strażnikami i przycupnął za rogiem budynku, oczekując Ampli. Ta zjawiła się niebawem.

– W męskim stroju całkiem ci do twarzy. – Arden uśmiechnął się na jej widok. – Śmiem nawet twierdzić, że wyglądasz w nim lepiej niż ja sam. Ty w moim ubraniu... moim jedynym ubraniu.

– Wyruszam do dominium – odparła kobieta, nie zwracając uwagi na jego słowa. Popatrzyła na ułożenie słońca na nieboskłonie i udała się na północ.

– Poczekaj! – Arden pognął w ślad za nią. – Chcę udać się z tobą. Jesteś... jesteś jak powiew świeżości w moim życiu, jak... jak wyczekiwana, upragniona wiosna!

– Mamy już lato.

– To nic nie zmienia. W cesarstwie zawsze jest lato. Jest ciepło, słonecznie i... ustawicznie tak samo. Odkąd pierwszy raz cię ujrzałem, zrozumiałem, że pragnę odmiany. Po lecie chcę poczuć zapach jesieni, usłyszeć szelest zeschniętych liści pod stopami. A potem doświadczyć zimy i mroźnych płatków śniegu topniejących na twarzy. I pragnę wiosny, kiedy wszystko wzrasta.

– Sporo masz życzeń.